



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:  
We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych  
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,  
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.  
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:  
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.  
Ekspedycyja główna w księgarni wydawcy  
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta  
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartalnie flor. 2 cent. 75, na pro-  
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.  
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1  
sgr. 20.

### RÓŻE WIOSENNE

(Legenda duńska).

Był taki mędrzec, który wszystko umiał.  
Wykrał naturze wszystkie jej tajniki,  
Każdej ptaszyny słodki śpiew rozumiał,  
Każdego zwierza leśnego krzyk dziki;  
Wiedział co szepeją lejące wietrzyki,  
Co szumią gaje, co śpiewają wody,  
Wiedział to—z duchem rozmawiał przyrody.

Miał też ten człowiek na rozkazy swoje  
Nieznanych potęg tajemnicze siły:  
Widział płynące w głębiach ziemi źródła,  
I drogie kruszców ciągnące się żyły,  
Ukryte skarby jemu widne były;  
Dosyć mu było sięgnąć, by posiadać—  
Mieć góry złota, tłumem ludu władać.

Lecz nie chciał: duchy tylko i żywioły  
Pod swoją władzą, w swojej dzierzył mocy.  
Czasem przyzywał niebieskie anioły,  
By z nimi mówić wśród gwiazdzistej nocy;  
Czasem szatana wołał—o północy;  
Kazał przed sobą stawać, patrzył w niego:  
Człowiek oczyma wależył z duchem złego...

I był zwyciężcą, bo pokusa żadna  
Do duszy jego przystępu nie miała:  
Ani ponęta nie zwiodła go zdradna,  
Ani namiętność w piersi nie zagrała,

Zdawał się twardy i zimny jak skała.  
Mieszkał samotnie wśród wieży kamiennej.  
Nigdy nie głodny i nigdy nie senny.—

Tak o nim ludzie mówili—łękliwie  
Oczy podnosząc ku oknu wieżycy,  
Gdzie niby jakieś nieśmiertelne Żywie,  
Lub wywieszony sygnał na strażnicy,  
Gorzał noc całą płomień tajemnicy:  
Lampa, jak grecki trójnóg, czuwająca  
Od mroków nocy do świtania słońca.—

W jej drżącym blasku zdaleka widniała  
Postać, schylona nad kartami księgi:  
Po pas płynęła długa broda biała,  
Nad czołem światła łamały się kregi,  
A posagowej jakowejś potęgi,  
I posagowej surowej powagi  
Był kształt wspaniałej dziwnie czaszki nagiej.

Bo już sędziwość wieku go okryła,  
A choć młodości wiecznej tajemnica  
Była mu znana, choć wiedział gdzie była  
Odradzająca młodzieńczo krynica,  
On, który w bruzdy zorane miał lica,  
Nie szedł w niej kąpać cielesnej urody:  
Dosyć mu było, że duch jest w nim młody—

Młody przez mądrość, która taki dzielny  
Eliksir miesza ze swemi nektary,  
Że kto je pije bywa nieśmiertelny,  
Bo niespożyte ezerstwy, chociaż stary.  
Tak on się krzepił i z cudownej czary  
Czerpał żywotność, której twarda siła  
Przez żadną niemoc zmożoną nie była.

A człowiek, aby umrzeć, musi w sobie  
Uczuć ból jakiś, jakoweś cierpienie.  
By po cierpieniu spocząć, na sen w grobie  
Ludzie się kładą: śmierć jest to zmęczenie  
Długą boleścią, ona to z nas żenie  
Skrzydlatą Psychę—znużona odlata  
W świat bez cierpienia z cierpiącego świata.

Więc też on, mędrzec, istota wybrana,  
Zadnej słabości ziemskiej nieznająca,  
Żył, choć już dawno poszli w cień kurhana  
Ci, co z nim razem ujrzeli blask słońca.  
On żył i mógł tak żyć długo—bez końca!...  
Póki by coś w nim boleśnie nie drgnęło,  
Nie mogło zgonu dokonać się dzieło.

Lecz śmierć, rycerka z wielką kosą w ręku,  
Gdy spotka opór, gniewem jest wzruszona;  
Chciewie też żadna choć jednego jęku,  
Który mędrceowi wydarłby się z łona;  
Czy spał, czy czuwał, dniem, czy nocą, ona  
Była tuż przy nim—za jego plecyma  
Stoi i straszna słuch wyteżon trzyma...

Mądrość mocniejszą od niej była przecie:  
Nad ziemskich cierpień podnosiła bole,  
I mędrzec chodził spokojnie po świecie,  
Z bruzdami myśli na wyniosłym czole.  
W Mocy i Potęg zabawiony kole,  
Prawa wszech rzeczy szukał wśród wszech świata,  
I przestał liczyć uchodzące lata.

Aż raz—a wiosna była, dzień czerwcowy  
Z niebios na ziemię lał potoki słońca—

Mędrzec szedł puszcza zielonej dąbrowy,  
Tę szmer napełniał listeczków tysiąca,  
Fala powietrza płynęła gorąca,  
A zresztą cisza—jako zawsze bywa  
W południe, kiedy wszelki twór spoczywa.

On szedł dróżyną krętą, co się wila  
Przez bujne gąszcze roślinności młodej;  
Może rozmyślał, jak wielką jest siłą,  
Co w kształtach wiecznej piękności i zgody,  
Wiecznie jest płodną wśród łona przyrody—  
Wtem za opończę coś go z tyłu ima,  
I nie puszczał naprzód, w miejscu trzyma.

Lecz pęd to tylko koleczastej gałęzi  
Zahaczył połę długiej jego szaty;  
Zanim się przecież wyplątał z uwięzi,  
Spojrzał—wśród liścia zieleni bogatej  
Na krzaku róży zakwitły dwa kwiaty,  
W wdzięcznym skłonieniu ku sobie nagięte,  
Niby miłosne, niby uśmiechnięte.

Staął i patrzy.... On niegdyś, zamłodu,  
Tak lubił kwiaty różane i wonie!....  
Wśród ukochanej dziewicy ogrodu  
Kwitło ich wiele—w różanej koronie  
Lubiła chodzić często, pełne dłonie  
Wonnych róż miewać, aż raz jeden kwiatek  
Dała mu, słodka, na szczęście zadatek....

Przypomniał nagle dzień ten i godzinę,  
Miejsce i chwilę, w której się to działo:  
Drzewa też w koło miał, głosy jedyne  
Szły od nich z wiatrem ciepłym, lecz w nim grało  
Serce bijące—ona rączkę białą  
Wraz z kwiatkiem dała w jego drżące dłonie....  
Ach! jak twarz mędrca blada ogniem płonie!

Lecz razem w piersi wzruszonej się budzi  
Żal za dawczynią kwiatu ukochaną:  
Bóg ją zawołał: kędyś precz od ludzi  
Uszła wezwana—tak prędko! tak rano!  
Z miłości swojej różą niezerwaną....  
On został!—Jak to dawno!... a daleka  
Ponad gwiazdami zaliż go nie czeka?

Zatęsknił w sobie duchem—już z tej ziemi  
Chciałby precz odejść, tam w górę, tam do niej!  
I utrudzonym się uczuł; sennemi  
Stają się oczy; ezar różanej woni  
Snadź go upoił: nie się też nie broni,  
Choć coś jak do snu pod krzew go układa:  
W cieniu twarz znowu czyni mu się blada—

I tak go ludzie znaleźli: jak śpiący  
Leżał, rozciągnion na pościeli mehowej;  
Przekradł się skosem słońca promyk drżący  
I trochę blasku rzucił koło głowy.  
Nie żył—duch uszedł tworzyć żywot nowy,  
Za młodych uczuć wzleciał ideałem,  
Kształt ziemski został spokojnym i białym.

M. Ilmicka.

## ZADANIA MORALNE

skreślił

Bronisław Chlebowski.

### I. Cel życia.

(Dalszy ciąg.)

Jeżeli więc jedyny możliwy dla każdego człowieka szczebel szczęścia ziemskiego stanowi za-

dowolenie wewnętrzne z siebie, to ku niemu skierować winniśmy wszystkie nasze usiłowania, o ile one zmierzają ku osiągnięciu szczęścia. Pierwszym tu warunkiem jest wyzwolenie się z pod władzy namiętności, pobudzających nas do szukania szczęścia w materialnych wyłącznie środkach życia. „Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim,“ powiedział Kochanowski, streszczając krótko a dobitnie wiele ważną moralną prawdę. Ten dopiero kto się wstrzyma od gorączkowej gonitwy za złotem, za znaczeniem, uciechami zmysłowemi, może zajrzeć w głąb swej duszy, może umiłowić wyższe cele i rozpocząć prawdziwie ludzkie życie. Wielką pomoc przynoszą nam tu wskazówki tego duchowego barometru, który zwykle zwiemy sumieniem. Jak instynkt w zakresie fizycznym, tak sumienie, prawdziwy instynkt moralny w zakresie duchowym, stanowią najniemylniejszych przewodników, jeżeli tylko nie uległy choróbliwym zbożeniom pod wpływem szkodliwych warunków fizycznego lub moralnego otoczenia.

Nie miejsce tu zastanawiać się nad źródłem i naturą tych wyjątkowych i stosunkowo rzadkich zbożeń instynktu moralnego. Głos sumienia możemy śmiało nazwać nieomylnym, gdyż nawet w wypadkach pozornego braku lub zbożenia tego kompasu duchowego, nie możemy twierdzić, iż on utracił swą potęgę. Zadajemy gwałt instynktom fizycznym: dlaczego byśmy więc nie mieli tłumić głosu instynktu moralnego,—który mimo to nie przestaje pełnić swych funkcji, i po chwilowem stłumieniu tem silniej zato oddziaływa! W miarę postępu ludzkości instynkt zwierzęcy traci swą pierwotną doskonałość i siłę, a zato instynkt moralny staje się tem wrażliwszym i doskonalszym; podobnie jak potęga zmysłów słabnie w miarę wzmaganania się potęgi ducha. Co największą przynosi szkodę dla sumienia, co najbardziej osłabia jego działalność, to gnuśna bezczynność ludzi niemających sił i odwagi, by dążyć ku jakimkolwiek celom, choćby złym nawet. Wybierając z dwojga złego, lepiej już błędzić, lecz dążyć ku czemuś niż drzemać w miejscu, lepiej być zwierzęciem niż bezwładnym ślimakiem. W pierwszym razie reakcja instynktu moralnego może nas zwrócić ku dobremu, a przyuczeniu do działania, do walki z przeciwnościami, z równą energią podążymy ku dobrym, jak poprzednio ku niskim celom. Kto nie pragnął nigdy zadowolenia i nie dążył do niego, choćby mylnymi drogami, ten nie jest człowiekiem.

Drugim warunkiem zadowolenia z siebie, jest ciągłe dążenie ku udoskoleniu własnemu. Doświadczenie mnóstwa ludzi uczy nas, iż ten tylko czuje się może szczęśliwym, kto żyje i postępuje zgodnie z wymaganiami swego moralnego instynktu; że im bardziej jesteś z siebie zadowolony, tem mniej czujemy, tem łatwiej znosimy troski materialne i cierpienia fizyczne. Z drugiej znow strony rozum podsuwa nam ideał człowieka, który winniśmy stopniowo urzeczywistniać, jeżeli chcemy osiągnąć prawdziwe zadowolenie z siebie. Słowem, szczęście nasze wiąże się najściślej z moralnem udoskoleniem i opiera się na wyzwoleniu stopniowem z niewolniczej zależności od zwierzęcych popędów fizycznego organizmu i materialnych warunków życia społecznego. Zarówno nauka stoicka, jak moralność chrześcijańska, jak współczesna nauka psychologiczna—zgodnie wygłaszają i stwierdzają tę prawdę.

Postęp moralny polega nie na odkrywaniu nowych lub przekształcaniu dawnych prawd, lecz tylko na coraz większem ich rozszerzaniu i coraz wszechstronniejszym stosowaniu. Podczas gdy w świecie starożytnym prawdy moralne stanowiły niejako przywilej pewnego koła filozofów pewnej klasy lub kasty, dziś, dzięki postępowi oświaty, stały się przystępnymi dla wszystkich, przeniknęły we wszelkie stosunki i instytucje, od koła rodzinnego do organizmu państwowego. Zarówno kościół jak i państwo, nauka jak i sztuka uważają dziś przestrzeganie, szerzenie i urzeczywistnianie moralnych wymagań, za jedno ze swych najważniejszych zadań. Moralne udoskolenie uznano za najwyższy cel tak życia jednostkowego jak rozwoju społecznego,—solidarność moralnych interesów za najsilniejszy z węzłów społecznych i ogólnoludzkich.

## II. Życie powszednie.

Życie powszednie! Cóż to ciekawego?—powie, skrzywiwszy się, niejedyn czytelnik, któremu troski, trudy i nudy codziennego życia przyodziały go szarą, posępną barwą. Cały interes, cała wartość życia skupia się dla niego w rzadkich chwilach zapomnienia o tem życiu powszednim, w chwilach uwolnienia się od codziennych obowiązków i kłopotów. Szczęście, o jakim marzy i za jakim goni—jeżeli jeszcze nie stracił w nie wiary, przedstawia mu się w warunkach wprost przeciwnych tym, w jakich się sam znajduje. Żyje on w takim razie tylko wyczekiwaniem owego wymarzonego życia, przy którym terazniejsze wydaje się nędznem wegetowaniem jedynie. Wszystkie wyższe cele i pragnienia, jakie się budzą w jego piersi, zaspokoju on dopiero w tem prawdziwym życiu. Czyż warto bowiem w tak nędznych warunkach obecnych być czemś więcej niż.... zwierzęciem?... Czyż można sił wyczerpanych walką o byt używać jeszcze dla innych wyższych celów? Czyż niższe instynktu, rozbudzone tą walką, mogą znaleźć zaspokojenie w sztuce lub nauce? Żyjąc po zwierzęcemu, pocieszamy się myślą, że kiedyś szczęśliwe warunki pozwolą nam rozpocząć życie świeższe, życie prawdziwie ludzkie, oddane tylko rozkoszom estetycznym, naukowym lub dobrem uczynkom. Tymczasem mija rok za rokiem, a owo wymarzone Eldorado okazuje się coraz dalszem, coraz niemożliwszem; razem z nadzieją wydobywania się z więzów codziennego żywota, tracimy zapał dla wyższych celów i wiarę w szczęście, wpadamy w stan bezduśnego zubożenia na wszystko. Co nie ma związku z materialnymi warunkami naszego istnienia. Przekonywamy się wreszcie, że wyczekując na wymarzone warunki straciliśmy jedyną sposobność do spełnienia swojego ludzkiego posłannictwa; że owo wzgardzone życie powszednie jest prawdziwym i jedynym możliwym życiem, że owe rzadkie świeższe chwile są tylko momentami wypoczynku po walce i trudach, wypoczynku, którego używać winniśmy, nie dla oddawania się przelotnym uciechom, lecz dla zebrania i wzmocnienia sił do dalszej pielgrzymki i dalszego boju. Życie, zaiste, jest walką, ale nie o byt jedynie, nie z samymi materialnymi warunkami. Daleko cięższy bój staczać musimy z sobą samymi, z temi niskimi instynktami, zatrzymującemi nas na stopniu życia zwierzęcego, pod wyłączną władzą prawa „walki o byt“. Ponieważ w tym boju z naszymi popędami tak rzadko odnosimy zwycięstwo, a najczęściej poddajemy się bez walki, ztąd w stosunkach tak między jednostkami jak i społeczeństwami całemi przemaga dziś owo nieublagane prawo, które Darwin pierwszy tak dobitnie w hipotezie swej sformułował.

W zastosowaniu bezwiednem tego prawa upatrywać należy najważniejszą przyczynę zastoju w społeczeństwach ludzkich. Cały postęp ludzkości polega właśnie na wyzwolaniu się powolnem zpod tyranii tego prawa, na stopniowem wzmagającej się przewadze instynktów duchowej natury nad fizycznymi.

Jedyną wskazówkę postępu społeczeństwa stanowi podnoszenie się poziomu moralnego wśród masy ludu. Przepych zewnętrzny, jaki dziś nasza cywilizacja rozacza, cuda przemysłu i potęgi umysłowej człowieka, jakie co krok spotykamy, olśniewają nas i wprowadzają w błąd codo pojmovania istoty postępu.

Ludzkość postępuje wistocie, ale nie tak szybko i pomyślnie, jak nam się wydaje, i postęp ten polega nie na tem bynajmniej, w czem ogromna większość ludzi widzi jego najświetniejsze urzeczywistnienie. Zewnętrzny przepych i udogodnienie materialnych warunków życia, jakie zawdzięczamy zaprzężeniu sił przyrody na posługę naszym celom, cuda nauki i przemysłu—to dopiero tylko warunki prawdziwego postępu, nie zaś postęp, polegający na doskonaleniu się moralnem, urzeczywistnianiu ideału człowieka. Wprawdzie wszystko co się dzieje na świecie dzieje się pod hasłem postępu i dobra ludzkości, ale w istocie rzeczy chodzi tu przeważnie o zadowolenie fizycznych popędów, o urzeczywistnienie niskich materialnych czysto celów. Ztąd—to co krok spotykamy ten jaskrawy kontrast postępo-

wych filantropijnych deklamacyj z brutalną przewagą siły i zwierzęcą walką o byt. Ztąd-to w samym ognisku dzisiejszej cywilizacji, w stolicy świata — w Paryżu, zwierzęcość natury ludzkiej wybuchała z tak straszną dzikością podczas komuny; ztąd-to również pochodzi ten niepojęty na pozór związek między postępiami dzisiejszej cywilizacji a przystrojem zbrodni i przestępstw.

Przepych, jakim otaczamy swoje życie, nie pozwala nam dojrzeć zwierzęcości instynktów i dążeń naszych. Gdy biedny wieśniak upija się wódką, przejada kartoflami lub truje jadłowitemi grzybami, ubolewamy nad zwierzęcością jego upodobań i nałogów, — gdy jednakże my sami zatapiamy rozum w winie, ruinujemy zdrowie i kieszeń kosztownymi i wykwintnymi przysmakami, to nasze obżarstwo, pijaństwo nie wydaje się równie niskim nałogiem. Wykwintne przyrządzenie i podanie jadła i napoju odebrało ucztom naszym wszelkie ślady wspólności ze zwierzęcymi obyczajami, których trzyma się prostak, niewyróżniający się często od zwierząt ani pokarmem, ani sposobem jedzenia.

Kradzież bochenka chleba, kawałka mięsa, owoców z ogrodu lub zboża ze sterty, oburza nas niewymownie jako objaw dzikości natury ludzkiej. Istotnie w ten sam sposób kradnie lis nasze kury, wydra ryby, ptactwo zboże i owoce. Inaczej zupełnie patrzymy na daleko szkodliwszą i złośliwszą kradzież, jaka się kryje pod mianem spekulacji pieniężnych, przedsiębiorstw, sprzedaży i t. p. czynności mających świadczyć o postępie cywilizacji. Cywilizacja ta, niestety, zbyt często używaną bywa na posługi zwierzęcych instynktów naszej natury i czyni wtedy człowieka najniebezpieczniejszym, najdrapieżniejszym ze zwierząt, dostarczając mu całego arsenału narzędzi dla walki o byt i całej apteki środków dla rozbudzania i zadawania pędów fizycznych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Kościół był wewnątrz czysty, nie zaciekało nigdzie, ceglami wyłożona podłoga, choć miejscami ponadwierzchna, całe jeszcze była znośną, okna w ołwiu prawie całe. Staroświeckie ołtarze, potroszę złoczone, trochę malowane, pstrzyło ofiar, firanczek, votów, kwiatów i obrazków mnóstwo, chorągwi przy ławkach stał cały las, ołtarzyk przenośny jeden i drugi strojny był zawsze świeżo, organ prawie cały odpowiadał, a na podniesienie huczał pysznie—czegóż było żądać więcej? Elegancji? a na cóżby się ona ludowi ubogiemu przydała, dla którego i tak domek Boży był aż nadto przyzdobionym?

Czystość w nim utrzymywano jaknajtroskliwiej; do nabożeństwa nie brakowało nie; baldachym nawet nowy z galonami na processjach wspaniale występował, a zakrystya obficie była zaopatrzona w aparata.

Proboszcz miejscowy, ksiądz Dagiel, który już lat kilkanaście parafii przewodniczył, był człowiekiem wielkiego ducha, lecz zarazem wielkiej obyczajów prostoty. Mówiono, że ze znacznej rodziny, niegdyszamożnej, ale tak zubożałej pochodził, iż z miłośrdzia był w seminarjum utrzymywany. Pańskich domów nie widywał nigdy zamłodu, obcował najwięcej z ubogimi, smaku też wykwintnego nabyć nie miał ni czasu ni sposobności.

Tak samo było u niego w plebanii jak w kościele, czysto, schludnie lecz całe nie elegancko. On też sam wyglądał dziwnie: raczej na żołnierza niż

na księdza. Na pierwszy rzut oka ogorzała, długa twarz jego z oczyma piwnymi, które zwyczaj miały wlepić się tak w ludzi, jakgdyby najskrytszych myśli z nich dobyć chciały — nie uderzała wcale. Ale im więcej się w nią było potem wpatrywać, tem też mocniej zastanawiała wyrazem odwagi wyzywającej do walki, choćby świat cały.

W rewerendzie z sukna grubego, w butach koźlowych, w bieliźnie niemal zgrzebnej, w czapce wytartej, ksiądz Dagiel szedł do pałaców tak śmiało jak do chat. Powierzchność ta, umyślnie zaniedbana, nie znamionowała w nim wcale obyczajów i obejścia się z ludźmi zbyt surowego i ostrego. Zdała go się można było nastraszyć, bo żołniersko i zawadyacko wyglądał, lecz minę tę dawała mu chyba wielka jego nieśmiałość.

Z ludźmi był łagodny bardzo, a jak żyw nikt go nie widział gniewnym. Nie mówił wiele—znać go kosztowało dobyć z siebie słowo; ale gdy raz usta otworzył, bez ogródki, z dobrocią, łagodnie straszną prawdę wypowiadał każdemu.

Ani dostojność, ani nazwisko, ani stosunki nie powstrzymały go nigdy od strofowania w oczy, gdy to za obowiązek uważał. Za oczy znowu bronił każdego.

Ksiądz był ze wszech miar przykładny, bogobojny, gorliwy; lecz ze przymiotów towarzyskich nie miał, ludziom się nie akomodował, nie kłaniał nikomu, nie dawał się ująć nieczem, nie lubiono go.

Szanować księdza Dagiela musiano, ale unikano stosunków z nim, i duchowieństwo nawet, dla którego był żywym wyrzutem częstokroć, stroniło od niego.

Na probostwie też ani się pożywić, ani zabawić nie było można: przyjmował gościnnie bardzo, jednak tem tylko, co dla siebie miał i czego sam używał. On zaś sam spełna nigdy nie wiedział anico pić, ani czem się karmił.

Śniadanie na probostwie składało się prawie zawsze z czarnego chleba, niedobrego masła, prostej wódki, wędliny nieosobliwej i kwaszonych ogórków. Amatorów też na nie wielu nie znajdował ks. Dagiel. Przyjeżdżał doń tylko ten, kto koniecznie go potrzebował.

Choć żył dosyć osamotniony, nigdy się nie poskarżył na to; czynnym był bardzo, a że parafie miał rozległą i z filij pomocy nie wiele, nieustannie z bryczki swej na wóz, z wozu na bryczkę przesiadać się musiał.

Ksiądz Dagiel od objęcia parafii oko miał ciągle na Łopatycze i Sierhin, na waśń, która dwa dwory dzieliła. W Łopatyczach bywał rzadko, gdyż tam dlań za pańsko się noszono, w Sierhinie—częściej i poufalej, lecz zagadać o jakiejś zgodzie nie było sposobu: Hojski natychmiast usta ścisnął, ręce kładł w kieszenie i milczał.

Jak wszystkie drobne przygody po wsiach, tak i bójka na sianożęci Osowieckiej ze wszystkimi szczegółami się po sąsiedztwie rozniosła. Mówiono nawet, iż syn Strukezaszyca tak ciężko był ranny, że z łózka się nie ruszał.

W nadchodzącą niedzielę przypadało uroczyste święto Apostołów Piotra i Pawła, pod których inwokacją kościół parafialny był poświęcony. Z obowiązku na ten dzień przybywał zwykle sędzia z rodziną, dworem i pewną ostentacją, tem większą, że go w parafii niezawsze widywano. Na ten dzień kollatorska ławka jego zawieszana była wyblakłym suknem pasowem, które zwykle zdejmowano potem dla oszczędności. Spodziewano się go i teraz.

Strukezaszyc z siostrą i synem, jeżeli ten w domu się znajdował, przybywał regularnie w niedzielę każdą. Ławkę miał swoją własną, zamykaną, nie w rzędzie z innymi, ale na boku u ściany stojącą. Nie można jej było na nieszczęście inaczej umieścić tylko nieopodal od kollatorskiej, tak że siedzący naprzeciw uniknąć widzenia siebie nie mogli.

Przez poszanowanie jednak dla domu Bożego, choć blisko siebie umieszczeni, sędzia i Strukezaszyc, nigdy sobie w oczy nie zajrzeli. Jeden i drugi zdawał się nie wiedzieć kogo miał w bliskości.

Nie można tego było powiedzieć o kobietach, które, niby się wcale nieznając, niewidząc niby, nader ciekawymi z ukosa mierzyły się oczyma. Sędzina, wytrzymać niemogąc, co zerknęła, to przestraszona wracała z pośpiechem do książki. Pan-

na Leonilla patrzyła nawet wyzywająco i śmiało, p. St. Aubin z pogardą i lekceważeniem, których wcale ukrywać nie myślała.

Panna Blandyna umiała, modląc się, tak spojrzeć, że nigdy jej nikt na uczynku nie złapał.

Pan Erazm, syn Strukezaszyca, i z polecenia ojca i z własnej woli, nie patrzył wcale na kollatorską ławkę. Stawał zawsze obok ojca, i raz oczy na wielki ołtarz obróciwszy, już w bok niemi ani strzelił.

Nazajutrz po wypadku wszyscy jeszcze około chorego ciągle siedzieli, a choć on gwałtem się z łózka wyrwał, wstawać mu nie pozwolono. Wieczorem, gdy sami byli, odezwał się Strukezaszyc:

— Wyleż się i wyliż, do Niedzieli, bo, da Bóg doczekać, w Niedzielę do kościoła musisz pojechać i to ubrany jak zwykle, aby okazać, żeś nie był ranny.

Nie chcę, aby się oni tem cieszyli. Choćby trochę przeboleć przyszło, a choćby odleżeć? to co? przecież warto coś, gdy się ich niepoczciwej satysfakcyi pozbawi.

Ciotce o tem nie mówiono nic, ażeby zawczasu nie protestowała. Rana, chociaż się goiła bardzo szybko, jednakże do Niedzieli się zamknąć nie mogła. Pan Erazm z tego bólu, jakiego miał doświadczyć, żartował; ojcu było go żal, ale miał wyższe konsyderacye. Syna kochał mocno, lecz honor swój szlachecki bardziej jeszcze.

Gdy zrana panna Blandyna się dowiedziała, że ojciec Erazma do kościoła chciał brać, i to jeszcze bez rozprutego rękawa, ręce załamała z desperacyi. Chciała protestować, prosić i błagać, ale spojrzawszy na brata, którego znała dobrze, z twarzy jego pomiarkowała, że to-by było próżnem. Erazm już się zabierał odziewać; obandażowano chorą jeszcze i trochę nabrzekłą rękę tak, aby na nią rękaw sukni mógł wejść. Ubieraniu ojciec był przytomnym.

— O to idzie, aby włożyć — rzekł chłodno — jeżeli potem zdjąć będzie trudno, to się rozetnie. Suknie niech lichy bierze, mniejsza o to.

Ojciec nawet gotów był trochę zbladłego syna, czemkolwiek naróżować, tak mu szło o to, aby z twarzy nie poznać nie było można.

— W kościele się trzymaj junacko, a choćby bolało, miłą nadrabiaj; niech się te pyszałki nie cieszą naszą biedą. Wezmą oni za nią zapłatę, a tymczasem, ani pary puścić się nie godzi.

Z ojcem trzymał syn jaknajzgodniej i zastosował się do jego woli. Przystroił się pięknie, rękaw na rękę obwiązaną naciągnął tak, że znaku nie było, popróbował nawet, choć z bólem, ruszać się, i czapeczkę nabakier nałożywszy, do kościoła był gotów.

Strukezaszyc, popatrzawszy nań, uśmiechnął się smutnie i po głowie go pogłaskał.

— Otóż to lubię—rzekł—człowiek ze swoim bólem na plac nigdy nie powinien wyjeżdżać. Dziecięca rzecz się skarżyć; mężstwo—swoje robić i milczeć.

Pannie Blandynie łyzy w oczach stały, ale sprzeciwić się bratu nie miała we zwyczaj; pilnowała tylko, ażeby przy wsiadaniu do kolasy Erazmowi dopomódz, i do worka, na przypadek wszelki, wzięła co było potrzeba do opatrzenia rany i rozcięcia rękawa, jeśli-by dolegał. W istocie rana silnie przewiązana bolała mocno, rękaw i suknia nie były wygodne; lecz pan Erazm, w całym znaczeniu wyrazu mężczyzna, uśmiechał się i chwilami tylko zaciął usta.

Do kościoła był spory kawał drogi, grobelki kamienne trzęsące, kolasa niewysmienicie niosła: Erazm jednak, zagadując o tem i owem, jechał udając wesołego. W duszy jego co się działo, z tego ani przed ojcem, ani przed kochaną ciotką spowiadać się nie mógł. W szkołach najpierw u Jezuitów, potem w palestrze lubelskiej, napatrzył się różnego świata, nielepszego może od tego, wśród którego się urodził,—lecz nauka i obcowanie z ludźmi wiele mu dały do myślenia.

Była to chwila, jakie przychodzą czasem w życiu narodów, gdy zło doścignawszy największego stopnia, obudza instynktowo w duszach pragnienie jakiejś zmiany i poprawy. Konarski właśnie był przemówił za reformą wychowania i obrad nad sprawami publicznymi; w powietrzu było czuć potrzebę jakiejś zmiany w życiu, które nikomu zno-

śnem nie było. Społeczność od panowania Augusta II, ciągle była jakby na stopie wojennej; wewnątrz kraju składające go żywioły, nawet żywiołów tych części pojedyncze, na śmierć się zagryzały. Rozkładało się wszystko; gorzał bój, który niekiedy w łono rodzin się wkradał.

Tak samo jak Czemyński z Hojskim, walczyli Radziwiłłowie, Potoccy, Fleming, Czartoryscy, Sapiehowie z sobą, ucierała się na sejmikach szlachta, zabijały partye na trybunałach, dwór wojował z magnatami, senat z izbą poselską, — wszyscy niemal ze wszystkimi. Z prawa została łupina, kładł w nią każdy co chciał, — w istocie rozstrzygały pięści.

Nadto się tego napatrzył pan Erazm, dodawszy jeszcze zapasy Jezuitów z Pijarami, ażeby mu to smakować mogło. Młodość ma i siły i ochotę do walki, ale do walki rycerskiej, szlachetnej, której cel bierze do serca; młodość, potrzebująca życia w normalnych jego warunkach, brzydzi się zarazem burdą bezmyślną, która zatruwa najpiękniejsze dni żywota. Panu Erazmowi więc i nieawiszę względem Czemyńskich ojeowska, i ciągle ucieranie się o kawał błotnistej łąki i ten spadkowy spór nieszczęsny, wcale miłym nie był. Ojca niemogąc nawrócić, ani śmiejąc mu się opierać, młodziak musiał posłubić jego sprawę i, choć bez przekonania, iść za jego skazówkami. Na sianożęć Osowiecką wpadł był, zapomniawszy się, wcale nie po myśli ojeowskiej, chcąc przejednywać i godzić. Gdyby mu się to było udało, dostałby od ojca straszliwą burę, szczęściem raniono go, i to zatarło sprawę, zmieniło znaczenie interwenyi.

Strukezaszyc, z którym syn mało mógł rozprawać, bo stary nie dopuszczał nigdy Erazma do dysput z sobą, znał go tylko z jego posłuszeństwa, przywiązania do siebie i innych przymiotów — do głębi jego duszy i przekonani wcale przystępu nie miał; przed cicią Blandyną ulubieniec też spowiadać się nie mógł i nie chciał; był więc we własnym domu, powiedziec można, niemal nieznanym.

Ojciec i ciotka kochali go zarówno, cieszyli się nim, ale mało go rozumieli. Erazm też ani z nimi, ani z innymi zwolennikami istniejącego porządku rzeczy, w spory nie wchodził. Po ojcu wziął ów charakter milezący i w sobie zamknięty. Od czynu go nie powstrzymań nie mogło, — czego dał dowód na sianożęci; w słowach był skąpy.

W Łopatyczach pierwszy tryumf po zdobyciu siana, przechwałki wesołe Brackiego i Sliwki, nazajutrz się w kwaśne usposobienie zmieniły, gdy się dowiedziano, że nocą, mimo burzy, chłopci Sierbińscy naszli sianożęć, siano zabrali i zniszczyli, a stróżów pobili i powiązali.

Sliwka w początkach ukryć chciał przed sędzią tę swą dekonfiturę, a że kontroli ścisłej siana nie było, udało się to może, gdyby zrana służące nie wypaplały przed jejmością historyi całej, i sędzia nie kazał zawołać ekonomą.

Zaprzeczyc nie było można; nagniewał się Czemyński okrutnie, że te szlachetki na swoim postawiły. Gniew trwał aż do Niedzieli. W wigilię śś. Piotra i Pawła przypomniała jejmość, że do kościoła jechać trzeba było. Choć dosyć pobożny, pan sędzia się skrzywił, bo mu na myśl przyszło, że się może oko w oko spotkać z tym znieawidzonym Strukezaszycem. Miał na myśli wytłomaczyć się chorobą i kobiety same wyprawić, lecz po głębszym zastanowieniu się uznał, że jechać był powinien.

Wybór do kościoła zawsze bywał pompatyczny. Conajmniej szła karetą, kolasa i bryczka, kilku dworzan jechało konno, towarzyszyła służba w barwie; sędzia stroił się z przepychem i ubierał w klejnoty. Chciał, aby wiedzieli wszyscy, że nie był łąda pierwszym z brzegu.

A że Strukezaszyc, choć porządnie, przyjeżdżał po szlachecku i niesadząc się wcale, tem mocniej o zakasowanie go dbał Czemyński.

— Niech znają com zaczął! — mrucał sobie pociachu.

Już Hojski z siostrą i synem zasiadł był w swej ławce i zabierał się do modlitwy, gdy z szumem, rozpychając ludek boży, wtoczyła się rodzina Czemyńskich. Jejmość strojna na czele, obok sędzia z ręką na karabeli, panna Leonilla jak anioł piękna, i nasepiona pani St. Aubin. Ex-definitor i re-

kodajni dworzanie towarzyszyli im. Zdala już postzegł Czemyński, stojącego z miną zuchowatą, p. Erazma, o którym był upewnionym, że ranny leżał. Okazało się tedy, że Sliwka śmiał bezwstydnie przed nim kłamać. Rumieniec wystąpił na twarz sędziego i oczy się gniewem zaiskrzyły. Sliwka, który także w kościele był, zobaczywszy p. Erazma, oczom nie chciał wierzyć. Przewidział on co nań spaść miało, i tem gorliwiej tego dnia się modlił.

Strukezaszyc, choć dosyć szumnie obok miejsca zajmowali Czemyńscy, ani spojrział na nich. Oczy trzymał wlepione w ogromną księgę, której karty z flegmą wielką przewracał. Panna Blandyna, nie patrząc przed się, z gorączkowym pośpiechem modliła się, przejęta całą nabożeństwem. Erazm, wyprostowany, z wąsikiem podkreconym do góry, stał niemal się urągając, piękną postawą i twarzą spokojną, wrogiem swoim.

Panna Leonilla zobaczyła go, poczęła mu się przypatrywać, wed ug zwyczaju swojego, zuchwale, i zarumieniła się z gniewu, tak go znajdowała impertynencko wyzywającym.

Ksiądz Dagiela, który sam celebrował i kazanie też miał powiedziec, złożywszy kapę, wstąpił na ambonę, przypadkiem czy z umysłu, z żywota apostołów wybrawszy sobie szczególnie jeden ustęp; owo porywcze ucięcie ucha Malchusowi, które Chrystus naganiał. Z tego biorąc assumpt, rozwiódł się kaznodzieja nad nagany godnemi krwi rozlewami płochemi, nad waśniami i niezgodami, nad narodową wadą dobywania miecza lekkomyślnie z obrząż Bożą. Mimowolnie czy umyślnie ksiądz z wielką siłą wystąpił przeciw braterskim zwadom, naówczas bardzo pospolitym, i zagrażał za nie surowym sądem Boga, który krew dał nie na to, aby się dla fraszek rozlewała, i nowych waśni a zemsty była nasieniem. Znalazły się w kazaniu alluzye tak jawne do postępowania sędziego i Strukezaszyc, że szlachta, słuchając ich, oczyma sobie antagonistów wskazywała i uśmiechała się potroszę. Strukezaszyc, jakby nie do niego pito, z wielkim spokojem, jak w tęczę ciągle patrzył na księdza — ani mrugnął. Nie brał tego wcale do siebie, na twarzy nie widać było najmniejszego śladu wrażeń. Czemyński, z głową spuszczoną, czerwony z gniewu, ledwie mógł w miejscu dosiedziec. Oburzał się na zuchwałego klechę, i choć się to działo w kościele — kipiał zemstą.

Skończyło się to wreszcie, i msza nanowo się rozpoczęła, był czas ochłonać; nastąpiły suplikacye, pieśni, modlitwy, a gdy wreszcie ruszono się z kościoła, Strukezaszyc, który przybył pierwszy, widoczenie, chcąc wyjść ostatnim, pozostał jeszcze w ławce z koronką.

Czemyńscy poczęli wychodzić, słyhać było we wnętrzu uciszonym kościoła zajeżdżające powozy, klaskanie z biczów i odciągającą karetę, kolasę i brykę. Dopiero się upewniwszy, iż Czemyńskich nie napotka, Strukezaszyc wstał i szepnął synowi na ucho:

— Jeszcze trochę cierpliwości: bo musimy zająć na plebanię.

Powód był dwojaki do tego kroku: chciał Hojski pokazać syna zblizka, iż mu nie było nic, a razem proboszczowi dowiesć, iż rzuconych z kazalnicy alluzyj wcale nie brał do siebie.

Panna Blandyna, ciągle niespokojnie spoglądająca na ukochanego jedynaka, radaby go była co najrychlej odwieść do domu, ale Strukezaszyc wola była niezłomną.

Wprost więc z ławy przeszli do zakrystyi, sądząc, że tam jeszcze ks. Dagiela zastaną. Nie było go już tam, bo pośpieszył przyjmować drobną szlachetę, wiadomem śniadaniem, złożonym z wódki, chleba, masła i ogórków.

Biedni ludzie, ubożsi dziedzice, oficjaliści kochali bardzo ks. Dagiela, śpieszyli więc z pokłonem i probostwo było pełne. Ksiądz Dagiela z twarzą rozjaśnioną, wypościwszy się do południa, sam już się posilał i gości zapraszał, gdy wszedł Strukezaszyc.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## KONKURS

REDAKCJI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ.

Dzieje umysłowe narodu naszego przedstawiają ten fakt godny uwagi, że poczawszy od wyraźniejszej fizyognomii piśmiennictwa, każde stulecie zdobywa się na wzory kreślące obowiązki człowieka i obywatela, zawsze z jedynej prawdy moralnej wypływające, ale do pojęć, zadań i potrzeb epoki stosowane. I tak: w wieku XVI *Żywotem poczciwego człowieka* Rej inauguruje etykę narodową. W wieku XVII Skarga, karcąc zboczenia od wielkich zasad w „kazaniach sejmowych“, a więc w samej krytyce ujawniając swe postulata codo stron podatnich, naprzykład ziomkom stawia *Żywoty świętych*. W wieku XVIII mniej wzniosły, ale zawsze sympatyczny, wzór podaje Krasicki w *Podstolim*, oraz w *Życiach zacnych mężów* z Plutarcha.

Wzory te uznane zostały przez społeczność i spopularyzowały się pośród niej dlatego, że nie były płodem fantazyi, formułą abstrakcyjną i arbitralną, ani echem żywiołów obcych; ale podśluchane i troskliwie przez myślicieli utalentowanych zebrane ze zdań i pragnień zdrowej części narodu, stały się niejako jej wyrazem, treścią myśli i natchnieniem, uczuwanym przez wszystkich, ale przez nikogo jeszcze niewypowiedzianych. — Myśli te i natchnienia, stopione w jedność i uklassyfikowane przez jednostkę, wyrażającą w ten sposób sumienie ogółu, prawnie uchodzić mogły za drogowskaz dla pokoleń objętych sferą położenia i warunków społecznych — słowem, za ideał wieku.

Przy zmianie sfery tej, drogowskaz i przewodnik taki, nieprzystając we wszystkich punktach do wyobrażeń i położeń, których w biegu historii przewidzieć nie mógł, staje się z czasem niedostatecznym. Przechodzą nowe warunki, a z niemi nowe zapatrywania się, nowe potrzeby i nowe obowiązki. Wiek XIX, choćby dla utrzymania tradycyi myślicielskiej, potrzebuje rozpatrzyć się w swych warunkach samodzielnie, podśluchać nanowo, uchylić zasłonę z sumienia ogółu i postawić wzór nowy, ideał miejscowy wieku.

Takie zpośród grona myślicieli i talentów krajowych pragnąc wywołać dzieło, — łączność pewną z kilku powyżej wymienionemi stanowiącą, —

**Redakcja Biblioteki Warsz. ogłasza w tym celu Konkurs,**

którego premium przeznaczonem będzie dla pracy: nie względnie najlepszej, któraby mogła być w danym razie najmniej złą, ale najlepszej z pomiędzy dobrych, to jest takiej, któraby tak myślała jak i obrobieniem względnie do swego zadania i wieku, mogła stanąć bez zawstyżenia obok swych pierwowzorów.

Pożądaniem jest, aby dzieło proponowane opierało się na podstawie dziejów, głównie naszego narodu, oraz innych społeczeństw, i aby czerpane z historyi fakta i wnioski jasno zasadniczą myśl konkursu uwydatniały.

Dla bliższego objaśnienia dążności dzieła konkursowego dodajemy, że wyborem odpowiednich typów lub faktów z historyi ma kierować nietylko idea obowiązku obywatelskich w warunkach normalnego rozwoju i potęgi, ale także i zadań, które mogą i powinny być urzeczywistnione przez wszystkich członków społeczeństwa w każdym położeniu i okolicznościach życia: publicznego, prywatnego i stosunków rodzinnych.

Słowem, praca konkursowa objąć powinna wykład obowiązków, potrzeb i zadań obywatela społecznego w kraju naszym, ku czemu nauk i przykłałów dostarczyć ma historya.

Pierwszeństwo w przyznaniu nagrody zależeć będzie nietylko od żywotności w treści, pełności w zjawiskach, powagi i spokoju w ujęciu przedmiotu, ale także i od doskonałości formy zewnętrznej — rozumie się zaś przez nią wdzięk, wytworność stylu, poprawność języka, czytelniczą dostępność i t. d. Nagroda konkursowa wynosi zł. pol. 5,000, czyli rs. 750.

Termin złożenia prac oznacza się na dzień 1 Maja 1879 roku. Autorowie prace swe nadsyłać mają opatrzone godłem dowolnie obranem, które stać będzie i na kopercie zapieczętowanej, a zawierają-

cej wewnątrz imię i nazwisko autora, ze wskazaniem miejsca pobytu.

Rękopism nagrodzony pozostaje własnością autora, który obowiązany ogłosić go drukiem w ciągu roku po przyznaniu nagrody. Gdyby zaś tego nie uczynił, Redakcyja „Biblioteki Warszawskiej“ wydać może uwieńczone dzieło na swoją korzyść.

(Bibl. Warsz. za miesiąc Styczeń 1878 r.).

## Z DZIAŁU PRZYRODY.

### Świat roślinny w południowej Afryce

przez Dr Ant. Rehmana.

(Dalszy ciąg).

Literatura angielska posiada cenne rycinowe dzieło o kwiatach południowej Afryki, wydane przez bezimienną autorkę, która przepędziła jedną zimę na przylądku Dobrej Nadziei; a wrażenie, jakie na niej wywarły nagłe zmiany tutejszej roślinności było tak silnem, że okolice te rajem kwiatów (*paradise of the flowers*) nazwała.

Gdy z początkiem bieżącego stulecia naturalisci wracający z przylądka Dobrej Nadziei przynieśli do Europy wiadomość o bogactwie tamtych okolic w rośliny cebulkowate, ogrodnicy belgijscy postarali się natychmiast o utrzymanie tych roślin w naturze i cebulki południowo-afrykańskie były przez długie lata potem największą ozdobą szklarni europejskich. Ale jeżeli utrzymanie ciepłoty odpowiedniej dla każdej rośliny jest nieraz bardzo trudnem zadaniem, to utrzymanie powietrza w stanie odpowiedniej suchości i czystości okazało się rzeczą niemożliwą, wskutek czego sprowadzone do Europy cebulki zaczęły ginąć powoli, a z licznych gatunków, jakie zdobyły szklarnie nasze z początkiem bieżącego stulecia, obecnie ostatnie tylko niedobitki gdzieś napotkać można.

Ale jak nagle ukazuje się ten różnobarwny kobierzec roślinny, tak też i szybko przemija. Są pomiędzy temi cebulkami kwiaty, które trwają tylko po kilka godzin; rozwijają się rano, zamykają w południe, a zasychają przed wieczorem, ażeby nie powrócić więcej do życia. Inne trwają znacznie dłużej, ale rozwój kwiatów wymaga znacznego zasobu wilgoci, a że deszcze przestają tutaj padać w miesiącu Wrześniu, przeto i główna ilość kwiatów cebulkowatych niknie z końcem tegoż miesiąca. Tylko storczyki i mieczyki (*Gladiolus*) wymagają do rozwoju swego dłuższego przeciągu czasu i rozwijają swe kwiaty o kilka tygodni później.

Ze zniknięciem roślin cebulkowatych nie kończy się jeszcze rozwój tutejszej roślinności, bo na ich miejsce ukazuje się niezliczony zastęp roślin kwiatowych, najrozmaitszej barwy i postaci, a w miesiącu Wrześniu i Październiku jary tutejsze uderzają wzrok podróżnika dziwną pstrokacizną barwą, a powonienie jego miłym dotykają zapachem. Rolę krzewy z rodziny motylkowatych (*Podaliria*) pokrywają się o tej porze niezliczonymi kwiatami różowej barwy; po gałęziach ich spinają się drobne wiciowate roślinki, a po bokach zarostów rozwijają się niezliczone postacie roślin główkowatych, pomiędzy którymi uderza szczególnie wielka liczba nieśmiertelników (znaleziono ich dotąd przeszło sto sześćdziesiąt gatunków w kolonii); rodziny dzwonkowatych, lobeliowatych, goryczkowatych i wiele innych dostarczają niewyczerpanego bogactwa roślin, niekiedy drobnych i niepozornych, ale obsypanych niezliczonymi kwiatkami o najwyższych barwach i dziwacznej nieraz postaci.

Ale i to drugie wydanie tutejszej flory przechodzi również szybko, a w miesiącu Grudniu ziemia jest już zaschlą i stęzala, krzewy i drzewa pokrywają się grubą warstwą pyłu, najbliższa zaś okolica miasta jest zupełnie z kwiatów ogołoconą. Kto jednakowoż nie lęka się trudów, umie przedzierać się przez przepaści i nie zważa na skwar afrykański, ten i o tej porze może wzrok swój nasycić wido-

kiem najwyższej zieloności, a tekę napęścić najpiękniejszymi wytworami afrykańskiej przyrody. Potrzebuje tylko w tym celu dostać się na wierzchołek góry Table Mountain. Góra ta nie jest wysoka, ale nadzwyczaj niedostępna; przystęp do samego wierzchołka jest trudny i nużący, a pobyt na nim czasami niebezpieczny, bo jeżeli zerwie się niespodzianie wiatr południowo-wschodni i pokryje go gęstym pokładem mgły, wówczas powrót jest prawie niemożliwym, a podróżni bywają zmuszeni przepędzać po kilka dni i nocy na wierzchołku góry. U mieszkańców okolicznych przechowuje się pamięć kilkunastu nieszczęśliwych ofiar, które zginęły tam z głodu i zimna, albo potraciły życie w skalistych przepaściach. Ale kto nie lęka się trudów i umie gardzić niebezpieczeństwami, ten zostanie na szczycie sowiec wynagrodzony wspaniałym widokiem okolicy i bogatej roślinności. Wierzchołek góry przedstawia ogromną, zlekka pochyloną, płaszczystą skalistą, ale płaszczystą ta nie jest równą, lecz porośniętą jarami, zagłębieniami i małymi dolinkami wypełnionymi przez całą prawie rok wodą ściekającą w postaci małych strumyczków, które łączą się poniżej ze sobą i tworzą silny potok, spadający z szumem po skalistych uskokiach góry. Wszystkie niższe miejscowości są porośnięte gęstym trawnikiem najwyższej zieloności, ozdobionym niezliczonymi kwiatami roślin cebulkowatych; po brzegach potoków kwitnie tutaj przez całe lato olbrzymi *Gladiolus* o wielkich, bladuróżowych kwiatach, a gdzie gleba więcej przechowuje wilgoci, tam podróżnik znajdzie kilkanaście dziwnych storczyków; rozmiary ich są wogóle dość drobne, ale jeden z nich, tak zwana *Diva grandiflora*, ma łodygę na dwie stopy wysoką, a purpurowe, czarno nakrapiane kwiaty trzymają przeszło trzy cale w średnicy. Bywa on nie bez słusności, za najpiękniejszy kwiat w całej kolonii uważany, a wierzchołek góry Table Mountain zdaje się być wyłączną jego siedzibą, bo jak dotąd nigdzie więcej w kolonii znalezionym nie został. Najpiękniejszym podarkiem, jaki młody mieszkaniec tych stron może ofiarować swojej przyjaciółce, jest wiązanka ozdobiona kwiatem tego storczyka, a panie tutejsze cenią ten kwiat wysoko i nazywają go „Dumą Góry stołu“ (*Pride of the Table Mountain*). Najwyższe wzniesienie góry przedstawia skalistą podłogę, pozbawioną jednostajnego trawnika, ale i tutaj znajduje podróżnik najrzadsze wrzosi i najpiękniejsze nieśmiertelniki, a szczeliny skał, zraszane wodą, pokrywają się zbitym trawnikiem różnobarwnych mechów i wywołują mimowoli wspomnienie gór ojezystych.

Prawie wszystkie gatunki roślin znalezione dotąd na przylądku Dobrej Nadziei są wyłączną tej okolicy własnością i z tego powodu bywa ona przez botaników, łącznie z przyległymi pasmami gór nadbrzeżnych, za właściwą krainę botaniczną uważana. Już w niewielkiej odległości od brzegów morza stosunki klimatyczne zupełnie odmienną przedstawiają postać i wywołują ważne zmiany w roślinności. Nikną wielkie rodziny i całe rodzaje, z którymi na brzegach morza podróżnik na każdym prawie spotykał się kroku; pozostaje, co prawda, jeszcze wiele typów wspólnych jednej i drugiej okolicy, ale należą one już do odmiennych gatunków.

Zanim rozstaniemy się z brzegami morza, zajrzyjmy jeszcze w jeden zakątek tej części ziemi, bo ten odmienną postacią swoją wynagradza sowiec trudny badacz. Południowa Afryka jest wyżyną wzniesioną do 3,000 stóp nad poziom morza; ale równoległe do wybrzeży morskich wznoszą się prawie wszędzie pasma gór wysokich na cztery do sześciu tysięcy stóp i zasłaniają tę wyżynę przed wiatrami morskimi. Prawie wpośrodku południowych wybrzeży, pomiędzy zatokami Mosel-bay i Algoa-bay ciągnie się tutaj pasmo gór Outeuikwa, stosunkowo najwyższe w tych stronach, bo pojedyncze jego wierzchołki dochodzą do 6,000 stóp wysokości. Góry te budzą zarówno zajęcie przyrodnika jakoteż i turysty, bo stoki ich są pokryte nieprzebytymi obszarami lasów dziewiczych, niezaprzeczenie najbujniejszych na całym obszarze południowej Afryki. Koloniści tutejsi rozróżniają dwa rodzaje lasów: nadbrzeżne i górskie. Pierwsze nazywają w języku holenderskim *krueppelbosch*, co znaczy dosłownie las karłowaty. Ten rodzaj lasów

rośnie tylko wzdłuż brzegów morza po miejscach niższych, wystawionych na silne działanie słońca i posuchę i składa się przeważnie z drzew niskich (najwięcej 30 stóp wysokości), o gałęziach krótkich, grubych, pokręconych, niekiedy gęsto ulistnionych. Rozumie się samo przez się, że są to drzewa zawsze zielone, nietracące nigdy liści, a liście ich stosunkowo dość drobne, narażone na znoszenie bardzo wysokiej ciepłoty, odznaczają się utkaniem twardem, jakby skórkowatym i powierchnią silnie połyskującą. Po brzegach lasu można napotkać niekiedy na gałęziach drzew dość gęstą tkaninę roślin wiciowatych, ale wewnątrz lasu pnie i konary drzew są zupełnie nagie, a gleba pokryta zeschłą trawą lub kolezatem krzewami, pomiędzy którymi nawet ciernisty Aloes, bezlistna Euphorbia o gałęziach soczystych, postronkowatych i inne rośliny mięsiste napotkać można. Drzewa, las taki tworzące, są niekiedy tak od siebie oddalone, że promienie słoneczne padają bezpośrednio na glebę, ogrzewają ją dość silnie i pozbawiają wilgoci, wskutek czego las szybko wysycha i w porze gorącej dość posępny przedstawia widok.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## LISTY Z ZAGRANICY

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Noc Nowego Roku. — Fyzjognomia miasta. — Zmiany zapowiedziane w Berlinie. — Przesilenie. — Posłowie francuzcy. — Cuda przyszłej wystawy paryzkiej. — Rachuby na nią. — Prassa peryodyczna niemiecka. — Brak nowości. — Hackländera „Romans mojego życia.“ — Bismarckiady i szowinizm w sztuce i literaturze — Bismarck platt deutsch. — Podania domu Hohenzollernów. — Pamiętniki z czasu monarchii Lipcowej. — Wizerunki Heinego i Börnego. — Skarbiec Humorystyczny. — Nawias o wydaniach pism Fredry. — Syn kanclerza. — Rom. hist. Blechnera. — Samarow. — *Glancarn P.* Idy Duffus Hardy. — Powieść Wilbrandta. — Anzengruber. — *Dziewieczyna z sokolem* i krytyka francuzka. — *Marya Antonina* braci Goucourt. — *Stłuczony dzbanek* Kleista.

(Dokończenie).

Co się tyczy owych podań, *Die Sagen der Hohenzollern*, te — są poprostu historią a nie podaniami, bo na legendach wielkiej starożytności zbywa, dosyć świeżo rozkrzewionemu, rodowi. Historia zamku Hohenzollernburga rozpoczyna ten zbiór; dzieje najświeższe go kończą.

Dosyć ciekawą publikacją są pamiętniki, a raczej korespondencya młodego niemieckiego wygnańca, którego losy zagnały na bruk Paryżki w pierwszych latach rządu Lipcowego (1). Obrazki ówczesnego życia i ruchu widziane z dosyć skromnego punktu, ze sfery niewzniosłej, są z tego względu oryginalne, że pewną stroną społeczeństwa malują, która rzadko występuje w pamiętnikach. Dla Niemców interesującym jest szczegółniej co młodzieniec pisze o Heinem, o Ludwiku Börnem i o innych swych współczesnych. Heinego nie lubią młody, z ciekawą troskliwością portretuje go, ale po swojemu: „Heine jest średniego wzrostu figurką i zarywa na otyłość. Ponad dosyć wysokim, ale niezbyt szerokim czołem, rozpięta się włos jasny, niebardzo obfity, dłuższy niż pospolicie się nosi i niestarannie rozrzucony. Oczy okolone bardzo pięknymi brwiami, osłonięte rzęsami krótkimi, małe jak u szczura (sic), ale pozbawione blasku szczurzego. Posiada ich wpatruje się w kogoś, przymruża je i przymyka. Policzki pełne, nos delikatny przy osadzie, garbem rodowód palestyński zdradza, a budową niemiecką — styl na trwałość obrachowany. Wargi wydatne, ale jednak niezbyt zmysłowy mają charakter; gdy mówi, usta jego przebiega szyderski uśmiešek i zadowolenie z siebie sarkastyczne. Głos bardzo nieharmonijny, język niepłynny, wymowa przeciągnięta nadreńska, w intonacyach, podnoszeniu się i zniżaniu, nie cechuje człowieka, któryby szybko i energicznie umiał się decydować.

(1) Briefe aus Paris von einem Verstorbenen (Zürich).

ani też zbyt gwałtownych namiętności. Ręce ma mierzalnych rozmiarów, mięsiste, białe, kształtne, starannie utrzymane, które w czasie rozmowy zalotnie naprzód wysadza i zreżymnie porusza niemi. Gdyby nie te ręce, wziąłbym go raczej za zasiedziałego czeladnika szewskiego niż za literata. Wizerunek jest wistocie złośliwy i przypomina nam drugi psychologiczny portret Heinego, niegdyś skreślony przez Klaczkę. Zato Börne wychodzi jasno. „Bardzo sobie prosty, skromny człeczyna, z otwartym czołem jasnym, rozumnymi oczami, pięknym nosem greckim, delikatnie zarysowanymi ustami i trochę spiczastą brodą. Nad całą tą twarzą, która bezwarunkowo obudza zaufanie, wisi jakby obłóczek niemieckiej melancholii, któremu kiedyniekiedy słodki uśmiech za promyczek służy słoneczny, ale nigdy go całkiem nie rozprasza“. Co to jest artystyczne dotknięcie! Nos Heinego ma cechę Palestyńska, Börnego—grecką, choć oba plemienni mają charakter jeden—ale Heine nie był w łaskach!

Smętne czasy nasze potrzebują się czemś rozzerwać; humorystyka więc popłaca, nie tylko na teatrach, jako przyprawka w dziennikach, ale w książkach.

Niedawno wyszła monografia niemieckiego humoru, teraz zebrał pan Ernest Eckstein „Humorystyczny skarbiec“ (*Humoristischer Hausschatz*), którego tom pierwszy na podarek świąteczny się ukazał. Składają się nań istotnie znakomici humorysty: Jean Paul, Börne (Siarczane kąpiele w Montmorency) Schüking, Krüger, Heyse (Wdowa z Pizy), Hackländer (Pierwszy i ostatni bal). Z okazji tej humorystyki przychodzi nam na myśl Fredry owa przewyborna powiastka: „Nieszczęścia najszczęśliwszego z mężów“, którą do podobnego zbioru u nas wysmienicie się nadała. Lecz, pełnego wydania pism Fredry jakoś się niepodobna doczekać, tak samo jak A. Mickiewicza, którego spuścizna ciągle jeszcze zwolna na świat się ukazuje. Jestto wprawdzie środek przypominania zmarłego, ale zarazem przeciąganie zupełnego sądu o nim, częstokroć dla pisarza niekorzystne.

Z nowych romansów zapiszemy tu tylko „Syna kanclerza państwa“ (*Der Sohn des Staats-Kanzlers*), historyczne opowiadanie Henryka Blechner'a (Wien-Zamarski) z czasów kanclerza Metternich'a, które, jakkolwiek zowie się i ma wszelką cechę opowiadania ściśle na dziejach rzeczywistych opartego, zaprawne jest jednak sporą dozą fantazyi w sposobie Samarowa.

A właśnie i tego ostatniego ulubieńca czytelnicy niemieckich, zapowiadają coś nowego, także „spannend“. *Spannend* musi być nadewszystko każdy romans dla szerszego koła czytelników przeznaczony.

Do licznego pocztu angielskich powieściopisarek przybywa pani — panna Ida Duffus Hardy z dwutomowym romansiem *Glaincarn*. Zdaje się to być, jak wnoszą wszyscy krytycy z pewnych oznak charakterystycznych pierwszy utwór, dowodzący pięknego talentu i młodzieńczej niewprawności. Na pełnem wdzięku tle malują się postacie niedosyć śmiało i wyraziście narysowane. Treści zato nie zbywa na kunsztownem do zbytku obmyśleniu, a intrydze — na powikłaniu. Autorka zdaje się wychodzić z zasady, nie fałszywej, ale zbyt ścisłego zastosowania mieć niemogącej, że ludzi absolutnie złych i idealnie doskonałych na świecie niema. Daje jej to swobodę, bo dobrzy w jej rękach psują się, a źli naprawiają i charaktery nie są konsekwentnie rozwinięte, lecz w opowiadaniu rażą te niespodzianki i wybryki. *Glaincarn*, mimo to zwykłych czytelników, goniących za silnymi wrażeniami, zająć może.

Adolfa Wilbrandt'a, który jako nowellista należy w Niemczech do najbardziej utalentowanych, wyszedł w Wiedniu nowy zbiorek mniejszych powieści, w którym mieszczą się wcale ładne opowiadania (Wien-Rosner). Taż księgarnia wydała ulubionego ludowego dramaturga Anzengruber'a, romans „Piętno hańby“. Na francuzki język przełożono znany romans niemiecki „Dziewczyna z Sokolem“ (1), któ-

rego teatrem jest alpejska kraina, a bohaterami gorale trochę dzicy. Jestto charakterystyczny bardzo obraz, może trochę za gwałtownie dramatyczny, lecz energicznego pendzla. Nie podobał się on Francuzom. „Może to zająć nieco, pisze sprawozdawca francuzki, że te dzikie natury ulegają tym samym namiętnościom, które nasze cywilizowane serca poruszają. Ale co u nas jest zefirem, tam się staje akwilonem burzliwym, co nas za ledwie dotyka, temi kolosami wtrząsa, a naówczas dopuszczają się takich piasów, że od nich drżą góry w swych posiadach. Są to miłostki i walki Pachydermów, a ja wolę gazelle“.

Tymczasem Paryżanin, który woli gazelle, nie umiał ocenić rzeczywiście choć mniej cywilizowanego a bardzo ludzkiego dramatu serca. Gazelle paryzkiego bruku perfumowane, wyięble, znużone, zepsute, mogą być zajmujące jako patologiczne subiekta dla badacza, ale czasem i zdrowej naturze nie zawadzi się przypatrzeć.

Sławny paryzki wydawca Charpentier, już z rokiem 1878 na wspaniałej okładce wydrukował „Historję Maryi Antoniny“, braci Goncourt, przepysznie ilustrowaną. Ma to być wizerunek nie konwencyonalnej, ale rzeczywistej Maryi Antoinety, któremu też towarzyszą niefantastyczne, ale z pomników współczesnych zaczerpnięte rysunki, portrety, widoki i t. p. Oryginalną jest ilustracja Giacomellogo, stanowiąca ramy do tekstu i zastosowana do przedmiotu.

Pierwsze karty ozdabiają kwiaty, wieniec, ptaki, wesołe godła wiosny i młodości, dalej cyprysy, ciernie, żałobne oznaki i tragiczne emblematy. Rysunki są przesłizne i pełne smaku. Komedję Kleista „Słuczony dzbanek“ z przewybornymi rysunkami Adolfa Menzla, choć mniejszych rozmiarów, jako ilustrowanie, równie wysoko postawić można.

Menzel jest tu w całej pełni znakomitego, niezrównanego talentu swego. Jego obrazki są tak żywe i taką nacechowane prawdą, żeśmy go — Niemcom pozazdrościli!

## WIADOMOŚCI Z MEDYCYNY POPULARNEJ.

### O chloroformie, jako środka usypiającym

napisał

Dr Gustaw Fritsche.

Odkrycie własności chloroformu i innych przetworów jemu pokrewnych: usypiania i zupełnego znieczulania, — jest jednym z najbawienniejszych i największych wynalazków XIX-go stulecia na polu chirurgicznym. Przed chloroformem używano na ten cel powszechnie eteru siarczane go. Professor chemii w Bostonie Jackson, przypadkiem odkrył własność eteru usypiającego; pracując raz w swoim laboratorium, oddechał on dosyć obficie parami eteru i wpadł w zupełną bezprzytomność i bezwładność, z której go cucić musiano. Zwróciwszy raz na to uwagę, zaczął Jackson wykonywać liczne doświadczenia na zwierzętach, a rezultat ztąd otrzymany opowiedział przyjacielowi swojemu, dentyście Mortonowi; ten ostatni korzystał z tego wynalazku, i używał znieczulania eterem przy wyrzucaniu zębów. Obydwaj przyjaciele jednak, znakomity ten wynalazek zachowywali w sekrecie; dopiero Warren z Bostonu podał wiadomość o nim do druku w 1846 roku. Natychmiast po ogłoszeniu, sposób ten postępowania rozprzestrzenił się z niesłychaną szybkością po całym świecie cywilizowanym. W rok potem, bo 10 Listopada 1847 r., Simpson w Edynburgu użył poraż pierwszy przy operacji z najlepszym skutkiem chloroformu, zamiast eteru. Simpson opowiada ciekawy szczegół, który dowodzi, jak los wynalazków wielkiej doniosłości nieraz od przypadku zależy; kiedy poraż pierwszy miał on spróbować skuteczności chloroformu, jako środka usypiającego, i kiedy wniesiono pacjenta na którym miano operację (herniotomia) wykonać,

do sali operacyjnej, ten nagle, przed użyciem jakiegobądź środka, życie zakończył; gdyby smutny ten wypadek był nastąpił w kilka minut później, po rozpoczęciu chloroformowania, wszyscy przypuszczaliby, że to ostatnie jest jego przyczyną, i zrażeni tem niepowodzeniem, niezawodnie do dnia dzisiejszego nie zrobiliby drugiej próby. Chloroform wyparł wkrótce z użyciu eter; jest on o wiele lepszy: przedewszystkiem szybciej działa od tego ostatniego, mniej lotnym jest od niego; odurzenie, ociążałość głowy i inne tym podobne przykre objawy krócej po chloroformie trwają, aniżeli po eterze, a co się tyjezie niebezpieczeństwa (o czem poniżej mowa będzie), to jest ono przy obydwóch tych środkach jednakowe. Uśpienie i ogólne znieczulenie chloroformem, używane jest obecnie w medycynie przy bardzo wielu okolicznościach; przedewszystkiem usypiamy dla wykonywania rozmaitych chirurgicznych operacji; pacjent uspiiony nie czuje najmniejszego bólu, leży zupełnie spokojnie, przez co wszystkie operacje z konieczną w takich razach zimną krwią wykonane być mogą. Oprócz tego, usypiamy chloroformem osoby, które zwichnięciu w stawach uległy; nastawienie niektórych zwichnięć, a zwłaszcza przestarzałych, wykonane być może tylko pod wpływem chloroformu. Również z dobrym skutkiem używa się wdechania chloroformu przy rozmaitych postaciach migreny, kureczów, spazmów przy tak zwanym tężcu (tetanus), przeciwko zatruciu strychniną. Lekarze sądowi używają nieraz chloroformu w celu odkrycia symulowanych chorób.

Chloroform został wynaleziony przez sławnego niemieckiego chemika Liebiga w 1831 r. i otrzymuje się przez destylację wysoką z chlorkiem wapna; jestto płyn bezbarwny, przezroczysty, cięższy od wody, smak ma słodkawy a zapach silny, przenikliwy; nieco do zapachu eteru podobny; jest on rozpuszczalny w wysoką i w eterze i paruje przy 60° ciepła. Uśpienie chloroformem skutecznia się przy pomocy osobnych na ten cel zbudowanych narzędzi, albo też poprostu zwija się chustkę lub płatek płócienny w trąbkę, nalewa się nań łyżeczkę lub dwie chloroformu i trzyma się je przed ustami lub nosem w taki sposób, iżby pacjent wdechał w siebie powietrze nasycone chloroformem; gdyby w miejsce takiego powietrza dawano pacjentowi jedynie tylko czystą parę chloroformową do wdechania, spotkałby go niechybnie los Desdemony, z tą tylko różnicą, że miejsce poduszki zasiałyby tu pary chloroformu. Dostawszy się do pęcherzyków płucnych, pary chloroformu przechodzą do krwi, a tak zmieniona krew oddziaływając na mózg, wywołuje cały szereg objawów, które w następującym porządku spostrzegać się dają. Przedewszystkiem przestają funkcjonować zmysły; pacjent widzi z początku zamglone postacie i przedmioty, a później dopiero wzrok traci, słyszy monotonne, szczególnie brzmiący głosy i szmery; ale wkrótce nie a nie nie słyszy; jednocześnie czucie traci, gdyż szczypania, klócia śpiłką wcale nie czuje. Okres ten trwa zwykle parę minut, poczem następuje rozdrażnienie; pacjent chce wstać, rzuca się na swoim łóżku, rękami odrzuca chloroform z przed ust, kopie nogami, przeczem oddecha szybko, zaczyna niewyraźnie mówić, krzyżeć, a czasami donośnym głosem śpiewa. Okres ten trwa parę lub kilka minut, czasem dłużej, poczem następuje spokojny, głęboki sen, który wielkie podobieństwo do śmieci przedstawia i wywierałby niezawodnie silne wrażenie na obecnych, gdyby czem innem, ważniejszym w tej chwili nie byli zajęci. Wzczasie tego snu, który trwa 10 do 15 minut, wykonywają się operacje; chory absolutnie nie czuje. Zdarzają się wypadki, choć rzadko, że chory zachowuje przytomność, ale czucie w zupełności utracą; chory taki nieraz rozmawia, żartuje, śmieje się z otoczeniem w chwili, kiedy operator najboleśniejsze cięcia mu zadaje; patrzy ze spokojem na to, zapewniając, że go to nie a nie nie boli. Opowiadają (Güntner) o pacjentach, którzy wczasie, gdy mu nogę amputowano, z największym spokojem przysłuchiwał się piłowaniu kości i odgadywał jakiej wysokości był ton, który piła wydawała. Po upływie 10 lub 15 minut pacjent zaczyna odzyskiwać swoją przytomność umysłu; jeżeli operacja nie jest skończona, to pierwszy objaw stanowi wyrażenie bólu, jakiego

1) Jestto znana czytelnikom „Bluszczu“ powieść p. W. Hillern „Wally-Orlica“ umieszczona w dodatku powieściowym do naszego pisma za rok 1875. (Przyp. Red.).

doznaje; można w takim razie dolać trochę chloroformu na chustkę i potrzymać ją przed ustami, a pacjent na nowo głębokim snem zaśnie. Takim sposobem sen znieczulający utrzymać można przez cały szereg godzin, bez najmniejszego złego następstwa dla organizmu. Po przebudzeniu się pacjent jest odurzony, czuje ból, ciężkość głowy, marności, ale nie wie co się z nim dzieło i ze zdziwieniem dowiaduje się, że operacja już wykonana została. Ilość chloroformu, potrzebna do wywołania takiego snu, jest rozmaita i zależy głównie od usposobienia pacjenta, czasami drachma już wystarcza; nałogowi pijacy bardzo trudno usypiają i dużo chloroformu potrzebują.

Czasem, przy nieumiejętnym użyciu chloroformu, zdarzają się smutne wypadki, które jednak nie są i nigdy nie będą w stanie znakomitego tego środka zdyskredytować. Zdarza się, że po kilku wciągnięciach par chloroformu przez pacjenta, puls słabnąc zaczyna, oddechanie staje się powierzchowne i pacjent wpada w obłądanie, skutkiem którego przy braku odpowiednich środków zaradczych śmierć następuje. Przyczyną tego bywa bezwład mięśni oddechowych, a następnie bezwład serca. Przy przytomności umysłu chloroformującego i przy szybkiej a umiejętnej pomocy, smutny ten wypadek prawie nigdy miejsca mieć nie może. Jak tylko chloroformujący spostrzeży, że oddech słabszym się staje, lub że jest utrudnionym, odrzuca natychmiast płatek z chloroformem, otwiera okno napędza wachlarzem jaknajwiększą ilość świeżego powietrza i niebezpieczeństwo zwykle mija. Jeżeli środki te nie pomagają, należy natychmiast wziąć się do tak zwanego sztucznego oddechania, o którym z powodu nadzwyczajnej ważności jego przy ratowaniu z zacczadzenia, utonięcia i t. p., przy innej okazji obszerniej pomówimy. Wypadki śmierci skutkiem wdychania chloroformu są coraz rzadsze i pochodzą prawie zawsze z nieogłędnego używania tego środka; doświadczenie wykazuje, że najczęściej zdarzają się wtedy, kiedy chloroformowano w małym pokoju, natłoczonym, w którym mało było powietrza, a przy seceji prawie wszystkich takich zmarłych przekonano się, iż serce było niezdrowe, najczęściej w stanie stłuszczenia. Na szczęście mamy pewne a łatwe sposoby przekonania się o tym stanie rzeczy; nie należy nigdy zaniedbywać zbadania klatki piersiowej i serca przed zastosowaniem chloroformu, a jeżeli po dokładnym wyegzaminowaniu okaże się, iż serce lub kłapy jego nie są w zupełnie normalnym stanie, należy chloroformowania zaniechać. Statystyka wykazuje, iż obecnie ledwie na 30,000 chloroformowań, jedno kończy się śmiercią, a przy wprawie i ogłędnym postępowaniu procent ten śmiertelności niezawodnie znakomicie się zmniejszy. Wobec takiego stanu rzeczy niechęć poddać się użyciu chloroformu, byłoby to samo, co niechęć jeździć koleją żelazną, przez obawę, żeby się na niebezpieczeństwo utraty życia nie narażać. Chloroformowaniem powinien zająć się lekarz; powierzać tej czynności osobom niedokładnie z tym przedmiotem obeznanym nie można.

## WIADOMOŚCI

### Literackie, artystyczne i naukowe.

— Pod koniec zeszłego roku (d. 27 Listopada) śmierć zabrała jednego z najpierwszych, jeśli nie najpierwszego z literatów Krakowskich, **Lucyana Siemieńskiego**. Przez lat czterdzieści kilka trzymał on pióro w ręką poeta, tłumacza poezji, krytyk, estetyk, dziennikarz, felietonista, korespondent i wreszcie powieściopisarz. Był on w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu literatem: rozszerzał pewne pojęcia o sztuce i literaturze, opowiadał w nowej formie to, co już było przed nim znane, należąc do wspólnego wszystkim zasobu wiedzy ogólnej. Był Siemieński dobrym znawcą literatury, zwłaszcza współczesnej i w pracach swoich składał częste tego dowody. Historię literatury ojczyznej znał o tyle, o ile sumienny literat znać ją powinien; badań nad nią, pomijając kilka wspomnień o pojedynczych pisarzach, nie przedsięwziął. Znał także

literaturę powszechną na jej wierzchołkach; szczególniejsze zamiłowanie miał do czeszczyzny i kiedy Bielowski przyswajał mistrzowsko *Wyprawę Igora na Polowców*, jednocześnie Siemieński przyodziwał w powabną harmonijną formę wiersza ojczyznej pieśni bohaterskie *Rękopismu królowodworskiego*. Okazał też wiele zamiłowania do poezji wschodniej: Firdusego i innych pięknie tłómaczył, lub naśladował. Znajomość greczyzny zużytkował pod koniec życia na dokonanie przekładu *Odyssei* i rzeć można, wzorowo się tu z zadania swego wywiązał. Głównie też, w zakresie prac wierszowanych, jako tłumacz jedynie w literaturze naszej trwałe imię mieć będzie: poezjami oryginalnymi, nielicznymi zresztą, mniej się odznaczył. Był Siemieński zadatko krytykiem, żeby mógł być poetą; żywioł rozumowy przeważał w nim nad fantazyjnym. Władając doskonale językiem, umiał go nieboszczyk przystosowywać do przeszłości tak, że, niebędąc archaicznym, język ten doskonale się do kolorytu danego wieku nadaje (*Potrzeba Warneńska*). Najbardziej znany i najsluszniej chwalony z jego poezji jest rapso, *Trąby w Dnieprze*, apoteoza miecza i ducha Chrobrego. Właściwość ludzi piszących w XIX w., pochop izdolność do wytwarzania życiorysów, Siemieński w wysokim posiadał stopniu i stwierdził uzdolnienie swoje w tym kierunku w trzydziestu kilku rysach przeważnie biograficznych, z których 27 pod nazwą *Portretów literackich* wydał osobno w 4 tomach w Poznaniu (dwa pierwsze tomy w r. 1865, ostatni w 1875). Najobszerniejszym, zbyt może obszernym, jest tu portret Franciszka Morawskiego, zajmujący cały tom II. Z życiorysów do zbioru tego niewłączonych na uwypatnienie zasługuje *Zywot Kazimierza Brodzińskiego* (Kraków 1851). Zabrał się S. do napisania życiorysu Kościuszki i wydał już był w r. 1866 zeszyt na 178 stronic, in 8-o złożony, ale natrafiwszy — jak wiemy o tem z umyślnego odniesienia się do autora, podczas jego ostatniego pobytu w Warszawie w roku zeszłym, — natrafiwszy na szczegóły, które ukazały opisywaną osobistość w świetle, nieodpowiadającym przekonaniom religijnym i społecznym, jakie sam piszący wyznawał — pracę tę, bardzo zajmująco prowadzoną, przerwał i to na chwili najważniejszej w całym życiu bohatera.

W pierwszych jeszcze latach zawodu literackiego Siemieński napisał wysoce popularną książkę *Wieczory pod Lipą* (1845), która później w kilku wydaniach nowych oddrukowywana, w Warszawie ukazała się p. t. *Wieczory w Ojcowie*, opowiadania Grzegorza (3 wyd. 1873). Nie możemy powiedzieć, o ile ryś historii polskiej dla młodzieży przez L. S. przed r. 1860 wydany, jest tym samym, tylko odpowiednio przerobionym, rysem, który nosi nazwę *Wieczorów*. K. Wł. Wójcicki w krótkiej wzmiance o Siemieńskim w *Ktosach* T. XXV, str. 375, przytacza *Dzieje narodu polskiego*, ozdobione stalorytami A. Oleszczyńskiego jako prosty przedruk *Wieczorów pod Lipą*. Toż samo w *Bibliografii Estrajchera*.

Jako pisarz w znaczeniu dążnościowem, jakie Carlyle pisarstwu nadaje, Siemieński wogóle zaczął miał działalność; pewne tylko dobrowolne zasklepienie się w formalistycę nadawało nieraz przekonaniom jego społeczno-literackim charakter wsteczny, wytrącało myśl jego z równowagi sprawiedliwości i nadwierało zasadność jego krytyk. Pod tym ostatnim względem jeszcze prawda zaznaczyć nakazuje, że Siemieński nie zawsze był bezinteresownym. Brak tej bezinteresowności, kardynalnego warunku wszelkiego sądu, — a więc i sądu krytyki, szkodził niemało Siemieńskiemu w jego zawodzie piśmienniczym i zewnątrz i wewnątrz zarazem: zewnątrz, pozbawiając go powagi, wewnątrz, wstrzymując rozwój rozumu krytycznego, który przy tak niepospolitej inteligencji, jaką obdarzony był autor *Portretów*, mógł być daleko wyżej jeszcze stanąć niż stanął, gdyby miał w osobistości samej odpowiedniejsze dla siebie warunki moralne. Z tem wszystkiem, Siemieński do najlepszych krytyków współczesnych należał i jak w wierszach tłumacz głównie, tak w prozie, głównie krytyk przed trybunałem Historii Literatury prawa swoje utrzyma. Umiał on godzić idealizm z rozsądkiem, a znajomość literatury powszechnej, w pewnym stopniu niezbędna dla każdego chcącego sądzić o literaturze ojczyznej, nadawała myślom jego pewną przestronność, która wynagradzała człowieka za ową

ciasnotę z przekonań społecznych i religijnych wpływającą. W formie krytyk swoich był często obcesowym — prawie zawsze, gdy chciał, dowcipnym a bezwarunkowo — zawsze zajmującym. Styl jego żywy przywiązywał czytelnika do książki lub artykułu. Miał Siemieński niezależnie nawet od wpływów charakteru życiowego swoje literackie uprzedzenia. Tak na przykład przyczepił się był do Zyg. Kaczkowskiego (*Kilka rysów z literatury i społeczeństwa*), w jego epoce najświetniejszej, ścierając blask wszelki z jego powieści, takich jak np. *Murdelio*; ale któż z nas uprzedzeń nie ma! W ostatnich czasach doczekał się przecież i Kraszewski tego, że go niemal pomiędzy *du minorum gentium* strącić usiłowano.

Siemieński znał się dobrze na sztuce plastycznej, a dobrze nie znaczy tu nieomylnie, bo w rzeczach tej sztuki zwłaszcza, nieomylności niema. — Pisywał recenzje o wystawach obrazów i wydał w r. 1860 obszerniejszą ocenę malarstwa naszego w *Albumie malarzy polskich*. Wkroczył raz nawet na pole historii sztuki i wydał w r. 1860 *Kartkę z dziejów sztuki i poezji*. Są tu wspomnienia o Michale Aniele i Wiktorii Colonne, wyjęte z szacownego dzieła Atanazego Racyńskiego *L'histoire de l'art en Portugal*, dopełnione szczegółami o artyście i człowieku, zkadądą znanymi, które dziś już pod światłem badań *Grimma*, *Crowe'go* i *Cavalca-sellego* zupełnie wyblakły. W kartce tej znajduje się przekład znanych napisów na posagu Noey<sup>1)</sup>. Siemieński, jak większa część nas, ludzi piszących więcej niż poznających, zabierał się często do przedmiotów, które go w danej chwili uderzyły, które mu się okolicznościowo pod uwagę nasunęły: i do takich należy owa chwila z życia Włoch w połowie XVI wieku, przedmiot *Kartki* stanowiąca.

Brakło Siemieńskiemu wykształcenia filozoficznego, aby mógł w miejsce luźnych pojęć o sztuce, porozrzuconych po bardzo licznych artykułach krytycznych, dać jakąś systematyczniejszą całość, w którejby się jego teoria piękna i pięknotwórstwa, jego estetyka, zawarła. Niemala to szkoda dla powszechności, bo zarówno przez rozległość swej wiedzy, jak przez bystrość umysłu i zdolność do uogólniania rzeczy i pojęć, Siemieński stał zupełnie na wysokości zadania, o jakim tu mowa.

Polszczyzną pisał piękną, niekiedy wszakże zaniedbaną w składni, co się pośpiechem w pisaniu tłumaczyło, a w korespondencyach do pism warszawskich (*Kłosa*) jedynie tylko skutkiem służącego każdemu redaktorowi prawa ostatniego przyłożenia pióra nie raziło czytelników.

Spis wszystkich pism zmarłego, wyszłych osobno, znajdzie czytelnik w *Bibliografii Estrajchera*; wykaz prac rozrzuconych po czasopiśmie czeka jeszcze na skrzętnego badacza, któryby mu się poświęcić zechciał. Podobnie spodziewać się można wydania najważniejszych i najpiękniejszych pism i utworów nieboszczyka, jakoteż dokładnego rysu jego życia — co wszystko chyba na gruncie, w Krakowie, zrobionem być może.

Nadmienimy tu, że wykaz w *Bibliografii Estrajcherowskiej* dopełnić należy z katalogu, przez spółkę księgarzy warszawskich w roku 1875 wydanego. Daty i tytuły dzieł, zamieszczone po pismach peryodycznych warszawskich, są przy niejedynej pozycji błędne. Trzymać się należy pomnikowego dzieła Estrajchera; wraże zaś niezgodności, pierwszeństwo, jak w innych tak i w tym wypadku mieć powinien katalog, który zresztą 9 tylko pozycyją obejmuje. U Estrajchera jest ich 68.

Wysoko podniósł wartość Siemieńskiego jako tłumacza, Leonard Sowiński w *Rysie literatury*, z notat Zdanowicza opracowanym (t. III, str. 668 — 689). Zresztą to, co pisano o Siemieńskim dotychczas, nie zaszkodziło mu może, ale nie pomogło utrwaleniu jego pamięci. Bądźco bądź, umysł to niepowszedni i jeden z najzdolniejszych pisarzy nam współczesnych. Pochwała nad jego grobem przez Stanisława Tarnowskiego wygłoszona, była bezwątpienia hrabiowskim panegirkiem, w którym przekonania społeczno-religijne Siemieńskiego ważniejszą grały rolę, niż *res gestae* jego literackiej działalności; ale też i poniżenie takie, jakie się dostało nieboszczykowi od *Przeglądu tygodniowego*, jest tyl-

<sup>1)</sup> Osobno przetłumaczył i wydał *Poezje Michała Anioła*.

ko objawem młodzieńczego, niewytrawnego jeszcze sądu, a raczej niechęci stronnicej. W każdym słowie tej dwunumerowej biografii Siemieńskiego, czuć nienawiść do człowieka, który nie chciał być i nie był pozytywistą po warszawsku: *Inde irae*.

Do ostatnich prac przedgonnych Siemieńskiego należą: *Księżyc warcheologii, heraldyce, poezyi i sztuki* w *Gazecie polskiej i Słownik w Kronice rodzinnej* z r. 1877. Są to krótkie, powabne, w przeważnie belletrystycznym charakterze pisane monografie.

Wypada jeszcze, niewdając się w biografie, przypomnieć główne momenta zewnętrznej historii człowieka. Szczegóły bierzemy z pism codziennych i rysów literatury.

Lucyan Hipolit Siemieński urodził się w Kamienniej Górze w Galicji w r. 1809. Ojciec jego i dziad walczyli w wojnach ostatnich XVIII wieku; wielki kataklizm z tego czasu przerzucił ich do Galicji. Niemcewicz namawiał ojca s. p. Lucjana, Antoniego, aby syna poświęcił zawodowi wojskowemu; zawodu tego, jako zawodu, nieboszczyk nigdy nie miał, ale w wypadkach wojennych jako ich uczestnik bezpośredni występował. Nauki średnie ukończył w r. 1828 w Lublinie, następnie uczęszczał do Liceum Richelieu'go w Odessie, dokąd go zabrał brat jego matki, Dłuski. Później zaczął pracować w redakcyi jednego z czasopism lwowskich, które podówczas były bardzo nieliczne i bardzo nisko stały — przyczem inne jeszcze zasilal mniejszego, okolicznościowego znaczenia pracami. Pierwszym jego wybitniejszym wystąpieniem było wydrukowanie w *Zewonii* Bielowskiego na rok 1834 przekładów z *Rękopismu Królowo-wskiego*. Wkrótce potem Siemieński musiał opuścić kraj; zamieszkał w Strasburgu, i tu nabrał wykształcenia uniwersyteckiego w kierunku literackim. Od r. 1843 do 1846 mieszkał w Poznańskim u zacnego patryarchy Seweryna Mielżyńskiego; potem znowu zmuszony wydatić się za granicę, dwa lata blisko spędził bądź w Berlinie, bądź w Brukseli. Po wypadkach Marcowych 1848 r. w Wiedniu, mógł już powrócić do Galicji, i z rozgłosnem już imieniem, założył w Krakowie dziennik *Czas*, do dziś dnia istniejący. Do końca życia zatrzymał w nim dział literacki i specjalnie krytyczny. Przez kilka miesięcy przed r. 1850 wykładał literaturę na wszechniczy Jagiellońskiej; rozporządzenie wyższe wykład ten przerwało. Był Siemieński członkiem Towarzystwa naukowego krakowskiego, które w r. 1873 przeistotnione na Akademię, utrzymało go, jako akademika, w swem gronie. Od r. 1848 Siemieński stale mieszkał w Krakowie i tam też umarł.

— I — *Niewiasta mężna, konferencye dla kobiet światowych*, przez ks. Landriota, tłumaczenie z francuzkiego. Jestto kilkanaście nauk moralnych, jakich często kościół używa w miejsce właściwych kazań, a osnutych na ustępie wziętym z *Księgi przypowieści* Salomona: „Niewiasta mężna“. Król mądrzec pyta się: „Niewiastę mężną któż znajduje?“ i odpowiada sobie, malując jej obraz: obraz kobiety enotliwej, czynnej, energicznej i razem kłiwej, oświeconej, której działalności daje zakres bardzo szeroki i wielostronny. Z obrazu tego poznać można jakim był u Żydów w bardzo odległej przeszłości ideał kobiety w rodzinie. Stanowisko, jakie jej tam wyznaczonem zostało, jest bardzo wysokie i dzisiejsza matrona, najbardziej czynu, władzy, działalności żadna, nie więcej pragnąć nie może, po wyższe udostojnienie w związku małżeńskim sięgać nie potrzebuje. Mężtwo kobiety jest tu zrozumianem przez siłę ducha w pełnieniu doskonałym obowiązku życia i ksiądz Landriot w naukach swoich — konferencyami zwanych — z tego pojęcia mężtwo wychodzi, dowodząc licznymi cytatami, że kościół przez wielkich pisarzy swoich tak zawsze pojmował kobietę, że ją chciał widzieć dzielną, szlachetną, wpływową przez pracę rodzinne i społeczne, przez uczucia zacne i podniosłe. Że przecież stanie

silne przy obowiązku wysoko pojętym nie jest łatwe, że okoliczności życia stają nieraz do sporu z obowiązkiem tego ideałem, że często siła ich odwodzi nas od celu, ku któremu dążymy: przeto trzeba każdej istocie ludzkiej, tak kobiecie jak mężczyźnie, mieć w piersiach mężnego, mocnego ducha, aby przeciwstawił się tym prądom, rwącym gdzieindziej niż dojsie pragniemy. Życie każde, nawet w zakresie najbardziej powszednim, potrzebuje tego: hartu woli silnej, mężtwo, odwagi, bohaterkości. Szkoda, że ta książka dobra, pojmująca rozumnie, bez zacieśnienia obowiązku kobiety w rodzinie i społeczeństwie, żądająca dla kobiety prawdziwej godności moralnej — nauki, światła, wyższego wykształcenia umysłu — pisana jest z jakimś napuszoną manierą, która nawet dla mniej uważnego czytelnika często myśl zaciemnia. Tłómaczenie jest bardzo dobre, choć nadętość stylu w oryginale czyniła przekład trudnym.

— Do zarejestrowanych przez K. Estrajchera (*Bibliografia XIX stulecia*) trzech przekładów *Maryi* Malczeskiego na język niemiecki: *J. Macholn* a w Wiedniu bez daty, *R. Vogel*'a w Lipsku 1845 i *E. Schroll*'a w Krakowie 1857, — przybył w końcu roku 1877 nowy przekład dokonany przez *Alberta Zippera*. Niewielka książeczka, ozdobnie w Hamburgu z datą 1878, in 16-o, wydana przez Hermana Grüninga, obejmuje krótką przedmowę na jednej stronicy pomieszczoną, rys życia zgasłego przed półwiekiem poety, skreślony bardzo sympatycznie dla niego i dla literatury, a osobliwie dla poezyi polskiej, zajmujący stron, 8—16, w druku bardzo drobnym, non-pareil — następnie sam przekład do str. 82-ej; sześć ostatnich stronic książki zajmują objaśnienia, zarówno jeszcze przez samego Malczeskiego do pierwszego wydania (1825) dodane, jak i świeżo wyszłe spod pióra tłumacza, który je za potrzebne dla czytelnika niemieckiego uważał. Tych ostatnich jest dziewięć. W przedmowie tłumacz, uważając dawniejsze przekłady za krzywdzące poetę, staje świadomie w szranki w poprzednikami swymi: chce ich, oczywiście, znódz i przewyższyc, — o czytelnictwie się czego zaświadczyć nie możemy, niemając przed sobą przekładów innych, choćby tylko tych, które Estrajcher zaznacza. Rys życia Malczeskiego (*Malczeski's Leben*) wykazuje nam jednak, że się tłumacz poważnie, z całym potrzebnym przygotowaniem, wziął do rzeczy, a znając nie tylko Malczeskiego, ale i literaturę polską w innych jej utworach, nie chce poprzestać na jednej tylko *Maryi* i pośrednio obiecuje rodakom swoim inne jeszcze przekłady z wybitniejszych naszych poetów. Powinniśmy być p. Zipperowi tem wdzięczniejszymi, im niewdzięczniejszą okazuje się dla nas, w ostatnich zwłaszcza czasach, ta sama inteligencya niemiecka, z której niegdyś tyleśmy przyjmowali, dla której wytworów, zarówno do dziedziny piękna jak i do dziedziny nauki należących taki niegdyś objawialiśmy zachwyt. Nowy tłumacz *Maryi* w swoim zyciorysie Malczeskiego okazuje się człowiekiem wyższym nad lichy poziom interesów „kulturalnych“ narodu, do którego należy; jest on człowiekiem — a nie tylko Niemcem — Przekładów przyobiecanych Niemcom oczekujemy od szlachetnie myślącego tłumacza z nietajoną ciekawością.

Życiorys Malczeskiego napisany jasno i gruntownie — o ile na to pozwalają materiały historyczne przez nas samych zebrane, — ciekawym jest dla nas w dwóch punktach: mianowicie w tem, co tłumacz mówi o stosunkach Malczeskiego z Byronem w Wenecyi i w tem, co już na sumieniu naszym jako wyrzut ciążyć powinno, żeśmy się dotychczas na wyczerpujący obraz życia i duchowego rozwoju Malczeskiego nie zdobyli. Codo pierwszego, wypadłoby przetrząsnąć nagromadzone przez Anglików materiały biograficzne dotyczące Byrona, jakniemniej wspomnienia miejscowe Wenecyi z życia li-

terackiego i towarzyskiego w epoce pobytu obu poetów; w tym drugim dziale pracy mógłby być dla badacza pomocnym p. Cieszkowski, od wielu lat archiwa weneckie przeglądający i dobrze z literaturą włoską obeznany. Codo drugiego, przyłączyć się tylko potrzeba do wezwania szanownego tłumacza, który zachęca weteranów literatury, pamiętających poetę i jego epokę, aby spisali to, co wiedzą i o poecie i o epoce — póki jeszcze czas, póki im śmierć pióra z rąk na wieki nie wydrze. Wstyd to powiedzieć, że dotychczas Malczeski, mając sławę tak wielką, nie ma jednak po sobie wspomnienia, umiejętnie, wyczerpująco napisanego.

Samego przekładu *Maryi* rozbierać tu nie będziemy. Wydał się on nam wiernym, a obowiązek wierności głównie na tłumaczu ciążył. Niewszędzie wprawdzie panuje bezwarunkowa dokładność, ale przy trudnościach, jakie przedstawia wszelkie przyswajanie poezyi, a osobliwie przy tych, jakie przedstawiał przekład *Maryi*, nieliczne usterki w pracy p. Zippera, nie powinny uszczuplać jej zalet. Przekład sprawia wogóle wrażenie rzeczy sumiennie dokonanej, i tego przymiotu nikt mu odmówi — chyba tylko niechętny lub pedant. Oddać myśli poety — to rzecz główna; nie uronić żadnego obrazu poetycznego, złożonego w kształtach i barwach przenośni — to obowiązek niezłomny: jednego i drugiego pilnie przestrzegał tłumacz i to mu z uznaniem należnem tutaj wypowiadamy.

Pierwsze cztery wiersze poematu brzmią u pana Zippera:

Wohin! du Steppenjüngling auf deinem flücht'gen  
[Ross!  
Spähst wol (*sic*) nach einem Häschen, das durch  
[die Gräser schoss?  
Oder wogt in süßen Träumen, der Erd'entrückt,  
[dein Geist  
Und stürmst mit dem Wind in Wette, ohne dass  
[du's weisst?

Dokładniejszego prawie obrazu *Maryi* pod Lipą (X i XI) trudno żądać od cudzoziemskiej mowy. Słowa Miecznika (tłumacz nazywa go „*Schwerherr*“ — tłumacząc się z tego w objaśnieniach) nie pozbyły się swej energii — choć oczywiście artystycznego toku polszczyzny nie mają. Na zapytanie Wacława: czy go kocha? *Marya* odpowiada:

Ob dich Maria liebt? Mein Theurer, du mein Leben,  
O, mehr, als uns auf Erden zu lieben Kraft gegeben,  
O, mehr als uns zu lieben, die Seligkeit gegönt,  
Mehr als in Himmelsräumen ein Herz erträumen  
[könnst!

W pieśni drugiej mniej zadawalniającym jest przekład dwuwiersza: „Bo na tym świecie....“ ale strofy wypowiadające rozczarowanie z życia, złęczone z ubłogosławieniem uczuć najczystszych, nadspodziewanie, z powodu trudnej budowy oryginału, dobrze wyszły. Oto jedna z nich, najpięszsza:

Und wenn der Gram in die Seele sich schleicht  
Mit schwarzer Wolken Gewitter,  
Und Unheil den Besten, Schuldlosen erreicht,  
Dass selber der Edle, der Hohe erleicht,  
Sieht er von dem Glück nur die Splitter;  
O! möge die Wunden nicht blutig erneu'n  
Der Bosheit grimmige Hyder —  
Ein Wort soll das letzte Stündlein erfreu'n:  
„Der Friede kehrt wieder — kehrt wieder!“

Do dzisiejszego numeru „*Bluszczu*“ dołącza się arkusz 5-ty powieści pod tytułem: *Zamek Daly*.

**TREŚĆ.** Róże wiosenne, poezya, przez *Maryę Pnięką*. — *Zadania moralne*, (dalszy ciąg), przez *Bronisława Chlebowskiego*. — *Sąsiedzi*, powieść, (dalszy ciąg), przez *J. I. Kraszewskiego*. — *Listy z zagranicy*, (dokończenie), przez *J. I. Kraszewskiego*. — *Konkurs Redakcyi „Biblioteki warszawskiej“*. — *Z działy przyrody*, (dalszy ciąg), przez *Dr Ant. Rehmana*. — *Wiadomości z medycyny popularnej*, przez *Dra G. Fritsche*. — *Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe*.